

## klub medyków



## MÓJ „MEDYK” SZEŚĆDZIESIĄTYCH LAT

*Działacze AZS – fotografia grupowa wykonana w Domu Medyka. W pierwszym rzędzie od prawej: mgr Hanna Wyganowska ze Studium Wychowania Fizycznego AM, Dagna Pawlik (Bobilewicz), Zofia Kamińska, Tomasz Krasucki, 1966 r.*

**D**om Medyka jako fizycznie istniejący budynek powstał w 1936 roku, przy udziale wielu przyszłych profesorów, wówczas bądź studentów, bądź osób już działających we władzach uczelni i promujących ideę stworzenia miejsca, które skupiłoby działające od kilku lat Koło Medyków Uniwersytetu Warszawskiego. Nie wiem, czy na lokalizację obok gmachu Zakładu Medycyny Sądowej miał wpływ fakt, że inicjatywa budowy powstała za kadencji dziekana prof. Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego, który właśnie tej dyscypliny był wybitnym przedstawicielem. Wiem natomiast, bo wielokrotnie byłam świadkiem pewnych – nazwijmy to – niezręczności, wynikających ze specyficznej lokalizacji budynku. Większość życia towarzyskiego późniejszego Klubu

Medyków toczyła się wprawdzie w godzinach wieczornych, tym niemniej trudno zapomnieć sytuację, w której na schodach „Medyka” słychać marsza weselnego i huczne życzenia dla nowożeńców, a kilkadziesiąt metrów dalej dramatyczne uroczystości żałobne. Zdarzało się, że żałobnicy występowali ze skargą. Swoją drogą, choć nie było to wydarzenie koniecznie wpisujące się w nastrój uroczystości weselnych, to – mam nadzieję – nie było również prorocze dla młodej pary. Cóż, tzw. samo życie.

Nie są mi znane losy Domu Medyka podczas wojny. Dla mnie jego działanie wpisało się w moje życie dopiero w latach 1961–1967. Na początku studiów nie był on moim drugim domem. Mieszkałam niedaleko Anatomicum, w którym odbywała się większość zajęć na I i II roku.

Korzystałam ze stołówki, która w przeciwieństwie do innych pomieszczeń, w tym sal prosektoryjnych, miała bardzo przyjazną podłogę dla modnych wówczas i noszonych na co dzień szpilek (w prosektorium buty się zmieniało). Poza tym żyłam w swoim środowisku, wśród rodziny, przyjaciół, znajomych kątów i nie odczuwałam potrzeby natychmiastowego przedstawiania się na coś nowego. Najbardziej wiernymi „mieszkańcami” Domu Medyka byli studenci spoza Warszawy i to ci, którzy nie mieszkali w akademiku, tylko wynajmowali pokoje, czyli stancje. Ci z akademików tworzyli bardziej lokalną, „akademikową” społeczność.

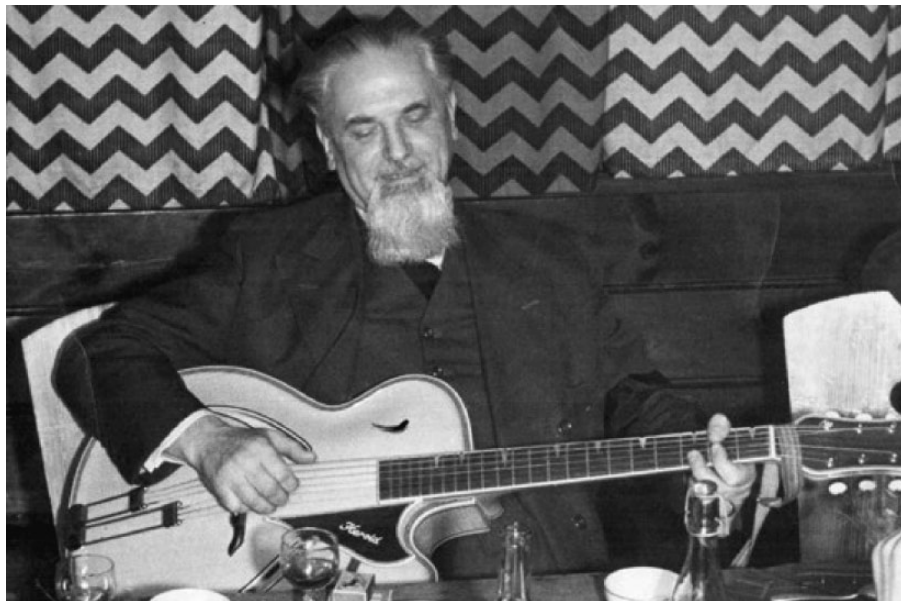
Ogromny wpływ miał natomiast „Medyk” na moje dojrzewanie społeczne. Na studia dostałam się bezpośrednio po maturze, w wieku 17 lat (w systemie

## 85 LAT DOMU MEDYKA

11-letniej szkoły było to możliwe szczególnie dla osób urodzonych w pierwszej połowie roku). W podobnej sytuacji znalazło się sporo osób z mojego rocznika. Oczywiście byli też o kilka lat starsi, np. felczerzy uzupełniający studia. Dla nas, małałatów, „Medyk” otwierał inny świat. Nie byliśmy pełnoletni, nie posiadaliśmy dowodów osobistych, mało tego – rodzice musieli wyrażać pisemną zgodę np. na objęcie nas obowiązkowym szkoleniem ogólnowojskowym. W „Medyku” stawaliśmy się dorośli. Nikt od nas niczego nie wymagał, poza – czasami – legitymacją studencką. Początek lat 60. był okresem styku pokoleń różniących się nie tylko wiekiem. Bywało, że znacznie trudniejsze okazywały się inne różnice wynikające z doświadczenia życiowego. Pokolenie ówczesnych asystentów, adiunktów, tym bardziej profesorów, bądź w pełnej świadomości i dojrzałości przeżyło wojnę, bądź wspomnienia wojenne jeszcze bardzo obciążały ich dzieciństwo. I właśnie tutaj, w „Medyku”, otrzymywali szansę mniej oficjalnego kontaktu z profesorami, którzy chcąc utrzymać swój autorytet, występowali w roli opiekunów poszczególnych roczników czy też organizacji młodzieżowych. Był to dla nich pretekst do pojawiania się w „Medyku” i bardziej lub mniej oficjalnego udziału w życiu studenckim. Znane jest zdjęcie prof. Witolda Sylwanowicza z gitarą w ręku, które potwierdzało jego wszechstronne uzdolnienia artystyczne. Profesor znany był ze swoich pięknych rysunków, wykonywanych w czasie wykładów kolorowymi kredami na tablicy w Anatomicum.

Odłąbną grupą, która wprowadzała nas w życie, byli koledzy ze starszych lat, pracujący jako tzw. akcesoriusz, czyli asystent asystenta, szczególnie na anatomii czy fizjologii. Byli naszymi nauczycielami, zaliczaliśmy u nich poszczególne działy. Sam fakt ich obecności w naszym życiu uczył nas oddzielania umiejętności i wiedzy od kontaktów na innych niż zawodowe płaszczyznach. W Klubie Medyków „zaliczało” się jedną albo dwie kawy lub piwa więcej czy mniej – i ot wszystko.

„Medyk” pochłoniął mnie całkowicie, kiedy zaczęłam działać w Akademickim Związku Sportowym (AZS). Mała kanciapka pełna była pomysłów, działań i... stuku rozsypującej się maszyny do pisania, skutecznie wykorzystywanej przeze mnie.



Prof. Witold Sylwanowicz w Klubie Medyków. Źródło: „Złote Gody 1967–2017. Absolwenci Wydziału Ogólnolekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie. Rocznik 1967”



Malowanie plakatu wyborczego przez studentkę Dagnę Pawlik (Bobilewicz)

Dzięki temu posiadałam sztukę szybkiego pisania. Jerzy Goliszewski czy Ładysław Nekanda-Trepka to byli działacze profesjonaliści, aczkolwiek wszystkich nas łączyła ogromna magia sportu. Robiąc zdjęcia (część była drukowana w Nowym Medyku i Politechniku, jak również w kronice przygotowanej z okazji 50-lecia uzyskania dyplomu ukończenia studiów przez mój rocznik), towarzyszyłam siatkarzom, pływakom, narciarzom, lekkoatletom, chociaż te dwie pierwsze dyscypliny najbardziej liczyły się w świecie akademickim. Na ścianach wisały różne trofea, w tym to z 17 maja 1964 roku za zajęcie I miejsca w imprezie, która nazywała się „I Warszawska Spartakiada Studentów

z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego i XX-lecia Polski Ludowej”. Cóż, było nie tylko 1000 szkół na tysiącletcie.

Do tradycji należały mistrzostwa Akademii Medycznej w pływaniu, które nawet zaszczylił swoją obecnością minister zdrowia Jerzy Sztachelski (ach, gdzie te czasy, gdzie). Popularnością cieszył się również plebiscyt na najlepszego sportowca AM, który chyba dwukrotnie wygrywał reprezentant Polski w skokach do wody Jerzy Kowalewski, a potem byli pływacy Zofia Kamińska i Józef Mazurek. Nagrody wręczał osobiście JM Rektor prof. Bolesław Górnicki – opiekun AZS. Ogłoszenie wyników odbywało się na balu, który kiedyś miałam przyjemność

## 85 LAT DOMU MEDYKA

prowadzić, organizowanym oczywiście w Sali Balowej Domu Medyka.

Sala Balowa jest dla mnie zupełnie wyjątkowym miejscem w „Medyku”. Nazwa adekwatna do roli, jaką spełniała. Były tam prawdziwe bale, które tak nazwą, jak i formą różniły się od zwykłych imprez sobotnich i spełniały wszystkie przyjęte normy, łącznie z wodzirejem. Tradycja bali sylwestrowych, przeznaczonych głównie dla pracowników, sięgała lat 50., o czym wspominał mi prof. Bruno Szczygieł. Potem pałeczkę przejęli studenci. To tam odbywały się tzw. półmetki, bale na zakończenie studiów po V roku (nasz się nie odbył z powodu nagłej śmierci opiekuna naszego rocznika i ogłoszonej w związku z tym smutnym wydarzeniem żałoby), bale farmacji i dziesiątki innych. Długie lata Sala Balowa była również miejscem posiedzeń Rady Wydziału Lekarskiego, skąd zostały przeniesione do Sali Rudniewa w Pałacu Kultury i Nauki. Oczywiście estrada była wykorzystywana do występów mało znanych wówczas postaci, które potem osiągnęły szczyty sztuki piosenkarskiej: Ewy Demarczyk, Piotra Szczepanika, Andrzeja Rosiewicza. Niezapomnianym przeżyciem było pojawienie się w 1964 roku Marleeny Dietrich. Choć o jej przyjeździe do Warszawy było głośno, łącznie z kilkoma „pikantnymi” szczegółami z jej pobytu, to wizyta w klubie na Oczeni okazała się pełnym zaskoczeniem. Tylko w Kronice Filmowej pojawiła się krótka migawka, opatrzona komentarzem: „gdy ona śpiewała, ich jeszcze na świecie nie było”. Rzeczywiście zanuciła z marszu bez akompaniamentu, twierdząc, że nigdy tego nie robi, a ostatni raz śpiewała tak dla żołnierzy w czasie wojny.

„Medyk” i „Hybrydy” to były kluby idące łeb w łeb, każdy miał swoich bywalców. Oczywiście nie jestem bezstronna, mówiąc dzisiaj, po latach, że wymiar Klubu Medyków był większy. „Hybrydy” bardziej przypominały studenckie kabarety krakowskie, może też ze względu na lokalizację w małej, wąskiej ulicy śródmiejskiej. „Medyk” posiadał więcej przestrzeni, otwierał się na świat i ludzi. Wciągał też licealistów, głównie maturzystów, którzy w różnych zespołach próbowali



Program balu AZS organizowanego w 1986 r.

swoich sił i był dobrze znany w zlokalizowanym niedaleko liceum (obecnie imienia Staszica, wówczas Klementa Gottwalda), które kończył m.in. były rektor WUM prof. Leszek Pączek, europoseł Marek Borowski czy Magda Umer.

Moje wspomnienie byłoby niekompletne, gdybym pominęła rzeszę ciekawych ludzi, którzy przychodzili na spotkania z nami. Frekwencja bywała różna, ale też nie byliśmy łatwymi słuchaczami. Pamiętam jak Andrzej Łapicki płatał się w odpowiedzi na pytanie, dlaczego czytał takie głupoty w Kronice Filmowej (był jej lektorem), a jeden z wiceprezydentów Warszawy niechętnie udzielał odpowiedzi, czy Warszawa jest przygotowana na... przechowywanie zwłok w czasie upałów. Nic nie było z góry zaplanowane.

„Medyk” był wielki, tworzyli go wybitni ludzie, którzy potrafili i ciągle potrafią się odnaleźć, nawet po wielu latach. Nie mam na myśli kontaktów z osobami ze swojego rocznika, notabene z którymi, a przynajmniej z częścią, regularnie się spotykamy. Mówię właśnie o kontaktach z „Medyka”, wśród których dla mnie szczególnie bliskie są te związane z AZS-em. Przez długi czas znane były bale AZS, organizowane przez kolejne pokolenia już nie w Sali Balowej na Oczeni. Dla nich AZS był tylko hasłem i pretekstem do wspomnień wspaniałych lat spędzonych w „Medyku”. ■

**Prof. Dagna Bobilewicz**

Materiały fotograficzne (oprócz zdjęcia prof. W. Sylwanowicza) pochodzą z archiwum prywatnego prof. Dagny Bobilewicz